

DR TADEUSZ SZCZURKIEWICZ

Profesor Wyższego Katolickiego Studium Społecznego w Poznaniu

## MODA NA SOCJOLOGIĘ

Z wszystkim, co nowe związana jest. zda się, nierozłącznie trudność, a nawet — do pewnego stopnia — niemożność zajęcia wobec „nowego” postawy chłodnego obiektywizmu. Illogiczny, nadmiernie silny sprzeciw oraz równie illogiczny, nadmierny aplauz i przesadne nadzieje, to stały pogłos każdej prawie nowości, zwłaszcza nowości posiadającej dużą dynamikę rozpowszechniania się społecznego.

Socjologia jest niewątpliwie nauką nową. Sto lat właściwego istnienia i rozwoju (jeśli pominiemy okres prenatalny), to istotnie w życiu i dziejach każdej nauki wiek mniej niż młodzieńczy. A nowość socjologii wystąpi jeszcze bardziej dobitnie, jeśli zastosujemy kryteria społeczne: upowszechnianie się samej nazwy tej nauki i zainteresowania nią, przypada dopiero na czasy powojenne, liczy więc lat zaledwie kilkanaście. Toteż niezmiernie rzadko spotyka się socjologia z rzeczowym krytycyzmem, postawą wręcz niezbędną dla zdrowego i normalnego rozwoju wszelkiej, zwłaszcza nowej, nauki. Natomiast nieporównanie bardziej powszechna w odniesieniu do socjologii jest albo postawa przesadnego krytycyzmu, albo postawa przesadnego optymizmu. Obie te postawy, skrajnie wartościujące socjologię jako naukę oraz praktyczną doniosłość jej wyników, są nieuzasadnione i obie szkodliwe dla rozwoju tej nowej nauki. Wydaje mi się wszakże, że z dwojga złego nieporównalnie bardziej niebezpieczna jest dla socjologii postawa przesadnego optymizmu, z którą dziś coraz częściej spotyka się w szerokich masach społeczeństwa. Słuszność tego mniemania będę właśnie starał się poniżej uzasadnić.

Przesadny krytycyzm, odsądzający socjologię od miana „nauki”, jest postawą charakteryzującą przede wszystkim uczonych pracujących w pokrewnych — ze względu na badany przedmiot — gałęziach wiedzy. Najsilniej tedy szerzy się i wyraża w kolach historyków oraz uczonych zajmujących się którąkolwiek z tzw. nauk społecznych. Krytycyzm tych uczonych ma niewątpliwie pewne

uzasadnienie rzeczowe o tyle właśnie, o ile pozostaje w granicach czysto rzeczowej krytyki samej socjologii. Rzeczowa jednak krytyka, oparta na dokładnej znajomości współczesnego stanu i dorobku socjologii, jest postawą, z którą dzisiejszy socjolog wyjątkowo tylko spotyka się u innych uczonych. Sytuacja jest taka, że przesadny krytycyzm, w przeciwieństwie do okresu przedwojennego, ma dziś wszelkie cechy raczej uprzedzonego sceptycyzmu niż zbyt daleko idącej krytyki naukowej. Najbardziej poważny i uzasadniony zarzut, jaki można postawić socjologii, zarzut rozbieżności natury metodologicznej, jest właśnie najrzadziej wysuwanym argumentem przez uczonych nastawionych „krytycznie” do tej nauki. Jeśli ktoś szuka dziś ostrej, szczegółowej i wnikliwej krytyki założeń, dyrektyw i uroszczeń metodologicznych socjologii, nie znajdzie jej w dziełach tych uczonych; znajdzie ją w pismach samych socjologów. Zarzuty natomiast, z którymi spotyka się dzisiaj socjolog ze strony przedstawicieli innych nauk, nie są ani zbyt głębokie, ani pouczające, ani nawet dostatecznie przemyślane. Mało w nich obiektywizmu, jeszcze mniej znajomości samej socjologii, niewiele uzasadnionego dążenia do narzucenia tej nauce wymagań teoretycznej doskonałości i ścisłości. O wiele więcej natomiast jakiejś lekkomyślnej, ale pewnej siebie powierzchowności, wyniosłego lekceważenia, wybacznego u zarozumiałego ignorantą, ale nie u naukowca, a nade wszystko jest w tych zarzutach sporo niechętnych uprzedzeń, wyrosłych raczej z irracjonalnego podłoża emocjonalnych nałogów niż chłodnych rozważań intelektu. Najczęstsze, najbardziej powszechne zarzuty, z którymi stale spotyka się dzisiaj socjolog ze strony poza-socjologicznych kół naukowych, sprowadzają się do dwóch zarzutów, powtarzanych do znudzenia. Stawia się socjologii zarzut po pierwsze: chwiejności i nadmiernego rozbudowania terminologii socjologicznej, po drugie: braku definicji tej nauki.

Zarzuty krytyczne pod adresem terminologii socjologicznej wysuwane przez tych uczonych nie są na ogół zbyt głębokie. Zarzuca się przeważnie socjologii nie to, że jej terminologia jest jeszcze zbyt mało rozbudowana, że jej terminy nie tworzą jeszcze możliwie adekwatnego narzędzia do ujmowania badanych faktów; zarzuca się jej natomiast ustawicznie to, że albo jej terminologia nie jest ustalona, że każdy niemal socjolog operuje własnymi terminami dla oznaczania tych samych w istocie rzeczy faktów, właściwości czy zależności albo też że jej terminologia jest zbyt sztuczna, niezrozumiała, zbyt rozbudowana, wręcz niepotrzebna. Zarzut

braku ustalonej terminologii jest niewątpliwie słuszny, jeśli istotnie te same właściwości czy zależności oznaczane są różnymi terminami, jeśli mnoży się bezużytecznie nazwy różnoksztatne i różnobraźne, ale równoznaczne. Pod tym względem jednak sytuacja nie jest tak beznadziejna, jakby się na pozór zdawało. Oznaczanie różnymi terminami tych samych właściwości czy zależności jest niezmiernie rzadkie; przeciwdziała mu zresztą coraz skuteczniej zarówno tworzenie się zwartych „szkół”, posługujących się możliwie jednolitym językiem naukowym, jak i ogólna tendencja ujawniająca się coraz silniej wśród samych socjologów, tendencja do ustalenia powszechnie ważnej terminologii, stworzenia wspólnego języka. W większości wypadków jednak różnice terminologiczne wynikają z odmienności **z a k r e s u i z n a c z e ń**, jakie nadają poszczególni socjologowie tworzonemu nazwom. Odmienności używanych terminów odpowiada tu odmienność zakresu ich desygnatów albo — przynajmniej — odmienność wydzielonego zespołu cech przynależnych tym desygnatom.<sup>1</sup>

Bardziej poważny jest zarzut konieczności „personalnego lokalizowania” terminów socjologicznych, ponieważ każdy prawie twórca pracujący socjolog, posługując się tym samym terminem, nadaje mu odmiennie, nieraz wyraźnie różne znaczenie. Zarzut ten częściowo tylko łagodzi fakt, że nie ma nauki nawet bardzo zaawansowanej, w której by wszyscy uczeni używali wszystkich terminów zawsze i tylko w jakimś jednym, ustalonym i powszechnie przyjętym znaczeniu. Nadawanie przez poszczególnych uczonych odmiennego znaczenia terminom, zwłaszcza oznaczającym pojęcia złożone, jest faktem spotykanym nie tylko w psychologii czy ekonomice, ale i w fizyce. Niemniej w porównaniu z socjologią fakty takie zdarzają się w innych naukach o wiele rzadziej, a w każdym razie przynajmniej terminy oznaczające pojęcia proste i mniej złożone są w tych naukach zgodnie i jednoznacznie ustalone. To, że w socjologii trzeba jeszcze „lokalizować personalnie” terminy oznaczające nawet pojęcia względnie proste, nie świadczy zbyt pochlebnie o stopniu konsolidacji i systematyzacji, osiągniętym w tej nauce; wskazuje bowiem wyraźnie, że socjologia nie zdołała jeszcze wyjść z okresu tworzenia suwerennych systemów, chociaż powojenny rozwój pozwala przypuszczać, że z okresu tego coraz szybciej wyrasta. Jeśli tedy zajmiemy nawet przychylną postawę wo-

<sup>1</sup> Tak np. mimo pewne pozory istnieje wyraźna różnica nie tylko co do treści, ale i co do zakresu pomiędzy „spółnotą” F. Tönniesa a „grupą pierwotną” Ch. H. Cooley’a.

bec socjologii, stwierdzić nam wypadnie, że w zarzucie nieustalanej terminologii socjologicznej, mimo pewne zastrzeżenia, jest wiele, może nawet bardzo wiele słuszności. I niewiele w odparciu tego zarzutu pomoże socjologowi powołanie się na psychologię, w której dziś właśnie, po latach, zda się, organicznego rozwoju rozpoczął się prawdziwy „kryzys terminologiczny”. Bo kryzys taki jest zawsze wykładnikiem kryzysu samej nauki. Znow jednak stwierdzić należy, odsłaniając przy tym nowe słabe strony samej socjologii, że zarzuty pod adresem jej terminologii nie idą zbyt głęboko. Najbardziej dotkliwy zarzut, jaki można w tej dziedzinie postawić socjologii, a mianowicie mętności i braku ostrości jej terminów, jest zarazem najrzadziej spotykanym zarzutem.

Odmiennej rodzaj zarzutów, z którymi często spotyka się socjolog, zwłaszcza w rozmowach prywatnych z uczonymi pracującymi w pokrewnych „naukach społecznych”, to zarzuty sztuczności, niezrozumiałości, niepotrzebności i zbytniego rozbudowania terminologii socjologicznej. Trudno te zarzuty brać poważnie, tym bardziej że chyba i ten, kto je wysuwa, nie może ich sam traktować poważnie; w przeciwnym razie musiałby przecież zrezygnować z posługiwania się w własnej nauce terminologią, która stała się dla niego tak naturalna, prosta, zrozumiała i konieczna. Czyż język prawnika jest zrozumiały dla każdego nawet z wyższymi studiami laika? i czyż humanista bez przygotowania ekonomicznego może ze zrozumieniem czytać monografię ekonomiczną? Dlaczego więc język socjologa ma być językiem od razu zrozumiałym dla każdego, kto tylko zechce coś socjologicznego posłyszeć czy przeczytać? Dążeniem każdej nauki jest zbudowanie systemu twierdzeń ogólnych, które każdy, kto je zrozumie, musi uznać za prawdziwe lub przynajmniej najbardziej prawdopodobne. To nie znaczy jednak bynajmniej, że twierdzenia te muszą być tak sformułowane, aby dla każdego bez żadnego przygotowania intelektualnego były od razu zrozumiałe. Przeciwnie. Właśnie aby zbudować system takich twierdzeń, musi każda nauka stawać się pozornie „niezrozumiałą” tworząc — zgodnie z wynikami naukowej analizy — nowe terminy lub nadając terminom zaczerpniętym z mowy potocznej ściśle, tetycznie ustalone znaczenie. Czy i jakie terminy należy wprowadzać, o tym mogą decydować tylko ci, którzy w danej nauce pracują; bo tylko oni mogą wiedzieć, co jest im potrzebne, a co zbędne. Oni też tylko i ewentualnie filozofowie, zajmujący się metodologią nauk, mogą stwierdzać, ozy terminologia ich nauki jest czy nie jest zbytnio rozbudowana. Każdy uczciwy socjolog musi dziś stwierdzić, że terminologia, którą rozporządza, jest niewystar-

czająca, że dalszy rozwój socjologii jest nierozłącznie związany z koniecznością rozbudowy i uściślenia jej terminów. Zarzut zbędności terminologii socjologicznej jest tylko w jednym wypadku wytłumaczalny; ale wtedy właśnie nie dotyczy socjologii jako nauki. Jest rzeczą aż nadto ludzką i zrozumiałą, że w okresie mody na socjologię niejeden z publikujących, pragnąc przyozdobić swoje wywody, nie mające nic wspólnego z bardzo liberalnie nawet pojętą nauką, pstry je obficie a nieopatrznie, jakby na wszelki wypadek, zasłyszaną czy wyczytaną, ale przyswojoną bez zrozumienia terminologią socjologiczną. W takich publikacjach — a jest ich wcale dużo — terminy socjologiczne spełniają istotnie tylko jedną funkcję: ozdobnego frazesu, etykiety nalepianej często w miejscu najmniej odpowiednim. Ale stąd nie wynika wcale, że terminy, którymi posługuje się socjologia, są niepotrzebne. Tak, jak zbędność fraka nie wynika jeszcze z faktu, że ktoś niemądry, ale pretensjonalny przyszedłszy nago na zebranie towarzyskie, usiłował przekonać zebranych, że oto uczcił ich przywdzieniem fraka, ponieważ przylepił sobie na szyi drobną kartkę z napisem „tu frak”, na biodrach — „tu krawatka”, a na głowie umieścić niefrasobliwie nalepkę „tu spodnie”.

W przytoczonych powyżej zarzutach można było się dopatrzeć bodaj cienia uzasadnienia i, co za tym idzie, słuszności. Tego cienia słuszności nie można już jednak doszukać się w zarzucie, że socjologia nie jest jeszcze nauką, ponieważ rzekomo żaden socjolog nie potrafi zdefiniować ani zakresu przedmiotów, którymi się zajmuje, ani swoich zadań i celów poznawczych; słowem: ponieważ jakoby nie ma dotychczas definicji socjologii lub, jeszcze wyraźniej, ponieważ w ogóle nie można zdefiniować tej „nauki”. Jest to właśnie zarzut, z którym najczęściej spotyka się socjolog, zwłaszcza ze strony przedstawicieli innych nauk „społecznych”. Wypowiadają go przy tym w takim tonie, jak gdyby sprawa istnienia czy nieistnienia każdej nauki była zależna przede wszystkim od istnienia czy braku jej definicji. O jaką definicję chodzi tym, którzy ten zarzut stawiają socjologii, trudno dociec i zapewne oni sami nie umieliby na to jasno odpowiedzieć. Bo, mimo demagogiczne pozory słuszności, w zarzucie tym kryje się albo niezrozumienie rodzajów, możliwości i przeznaczenia definicji, albo po prostu ignorowanie współczesnych systemów socjologii teoretycznej. Ścisła, analityczna definicja nauki, która by obejmowała wszystko „co” i „jak” należy badać w tej nauce, może być sformułowana dopiero wówczas, kiedy ta nauka jest już skończona, kiedy dokonaliśmy już gruntownej analizy

wszystkich zasadniczych zagadnień w jej obrębie i doszliśmy do ostatecznych rozwiązań, tak iż w granicach ludzkiej poznawalności nie ma już żadnych szans dalszego rozwoju tej nauki. Jak długo jednak jakaś nauka trwa i rozwija się, tak długo niewykonalny jest postulat adekwatności jej definicji. Matematyka jest niewątpliwie najbardziej ścisłą nauką, niemniej najwybitniejsi teoretycy tej nauki wyraźnie stwierdzają, że nie umieją i nie są w możności sformułować pełnej, analitycznej definicji jej „przedmiotu”. To, co w różnych podręcznikach i systemach naukowych podaje się jako definicję danej nauki, to w rzeczywistości tylko jakieś definicje *quasi-analityczne*, zbudowane z wyrazów, których znaczenie w tej nauce dalekie jest jeszcze od jasnego i wyraźnego ich rozumienia. Toteż w wielu, zwłaszcza logicznie bardziej zaawansowanych naukach uczeni, starając się uniknąć pretensjonalnej mętności definicji *quasi-analitycznych*, ograniczają się słusznie do podania pseudo-definicji aksjomatycznej swojej nauki lub w jakiś inny opisowy sposób starają się naprowadzić czytelnika na intuicyjne wyczucie „przedmiotu” i „perspektywy” tej nauki. Definicja wszelkiej nauki ma znaczenie przede wszystkim praktyczne: wskazać z grubsza początkującemu ramy przedmiotów i ewentualnie perspektywę, z której powinien na nie patrzeć. Jest to wytyczna orientacyjna mająca początkującemu ułatwić zbliżenie do przedmiotów i zadań danej nauki. Nie należy jednak zbyt niewolniczo trzymać się tej wytycznej; w miarę zagłębiania się w „przedmiot” danej nauki można, nieraz nawet i trzeba, porzucić ową wytyczną i wyjść poza nią lub zwięzić jej rozwartość. Takich praktycznych, naprowadzających definicji jest w socjologii wiele; nie są one gorsze, a często logicznie lepiej zbudowane niż definicje nauk uprawianych przez tych, którzy socjologii zarzucają brak definicji jej przedmiotu.<sup>2</sup>

Więc może nie tyle o kwestię samej możliwości zdefiniowania socjologii chodzi tym, którzy ten zarzut stawiają, ale raczej może o fakt rozbieżnego definiowania tej nauki przez poszczególnych socjologów. Niewątpliwie rozbieżność w dziedzinie definicji socjologii jest dość znaczna. Zmniejszy się ona jednak bardzo wydatnie, jeśli: 1. uwzględnimy definicje podawane i uznawane tylko przez w s p ó ł c z e s n y c h socjologów. Socjolog nie stawia zarzutu psy-

<sup>2</sup> Najbardziej właściwą odpowiedzią, jaką może dać socjolog tym, którzy stawiają ten zarzut, byłaby uprzejma prośba, aby zechcieli mu naprzód podać definicję ich własnej nauki. A następnie przeprowadzić porównawczo analizę logiczną podanej przez nich definicji np. z definicją socjologii podaną przez M. Webera lub L. v. Wiesego.

chologowi, ekonomiście czy historykowi, że inaczej definiowano ich nauki lat temu kilkadziesiąt niż dzisiaj; ma również prawo oczekiwać od nich uznawania tego samego „współczynnika historycznego”. Zmniejszy się dalej, jeśli: 2. wnikiemy w istotny sens różnych współczesnych definicji socjologii. Okaze się wówczas, że, przynajmniej w sprawie zakresu, czyli przedmiotu badań socjologii istnieje daleko idąca zgodność pomiędzy większością socjologów, a różnice są niezbyt wielkie i dotyczą spraw drugorzędnych. Zgodność o wiele większa niż np. we współczesnej psychologii, w której jest tak, iż to, co jeden psycholog, mianowicie introspekcjonista czy fenomenolog uważa za właściwy, zasadniczy przedmiot psychologii, to inny psycholog, mianowicie konsekwentny behawiorysta lub refleksolog w ogóle wyłącza z zakresu swoich badań i teoryj. Czy zresztą wszystkie współczesne podręczniki i systemy tak zaawansowanej nauki jak ekonomika podają zawsze jedną i tę samą jej definicję?

Istnieją co prawda dziś jeszcze socjologowie, chociaż należą oni do wyraźnej i mniej wpływowej mniejszości, którzy „przedmiot” socjologii zakreślają znacznie szerzej niż inni uczeni. Istnienie ich daje właśnie główny asumpt innym uczonym do stawiania socjologii nie tylko zarzutu rozbieżności definicyjnych, ale i braku własnego przedmiotu. Ważkość tego zarzutu zmniejszy się jednak znacznie, jeśli uwzględnimy, że 3. socjologowie ci: a) zakreślając szeroko granice przedmiotu socjologii, niemniej uważają za centralne, zasadnicze te właśnie zagadnienia, które mniej zaborcza większość pozostałych socjologów określa jako „swoisty”, właściwy przedmiot socjologii, b) mimo szeroko zakreślony program poruszają się przede wszystkim w ramach owych „centralnych” zagadnień i wreszcie: c) że i wówczas, kiedy socjologię uprawiają jako naukę ogólną o kulturze, nie mniej podchodzą do zagadnień kultury od strony zależności ich od owych „centralnych” zagadnień. Inaczej mówiąc, różnica między socjologami szeroko, a socjologami wąsko zakreślającymi przedmiot swojej nauki sprowadza się w zasadzie do tego, że pierwsi uprawiają pod nazwą socjologii nie tylko socjologię „czystą”, ale i „socjologię kultury”, drudzy natomiast będą skrupulatnie rozgraniczać te dwie pokrewne sfery zagadnień stojąc na słusznym stanowisku, że wprzód należy rozwinąć socjologię „czystą” zanim zaczniesz uprawiać socjologię kultury.

Nazwałem krytycyzm uczonych w odniesieniu do socjologii krytycyzmem przesadnym mającym wszelkie cechy raczej uprzedzonego sceptycyzmu niż nadmiernie ostrej krytyki naukowej. Krót-

ki przegląd zarzutów, z którymi niezmiennie spotyka się dzisiejszy socjolog, świadczy, że wiele z nich jest niesłusznych i niesprawiedliwych, że wiele z nich można rozciągnąć na szereg innych nauk, którym nie odmawia się z tego powodu charakteru nauki, że wszystkie te zarzuty są albo niezbyt głębokie, niekiedy wręcz powierzchowne, albo opierają się na nieznaności współczesnego stanu socjologii. Charakter tych zarzutów oraz niezwykła waga, jaką się do nich przywiązuje, zdaje się wskazywać, że u podstaw ich formułowania i powtarzania kryją się raczej pozaracjonalne motywy: mizoneizm tak częsty i do pewnego stopnia zrozumiały u niektórych uczonych oraz niechęć do oddania socjologii pewnych zagadnień, które dotychczas poruszano przygodnie i niesystematycznie w ramach swojej nauki i które przyzwyczajono się traktować jako zagadnienia do niej należące. Charakter tych zarzutów tłumaczy zarazem, dlaczego krytyka socjologii, idąca z zewnątrz, jest dzisiaj tak mało skuteczna i tak mało pożytku przynosi tej nauce. Nie zniechęca ona, ale i nie zachęca socjologów do przełamywania trudności usuwania przeszkód, doskonalenia samej socjologii. Okres, w którym każdy twórczo pracujący socjolog budował swoje teorie pod gwałtownym ostrzałem krytyki filozoficznej, przeminął, a na razie nic nie wskazuje na to, że zbliża się okres radykalnej, ale rzeczowo uzasadnionej krytyki socjologii ze strony zarówno filozofów, zajmujących się metodologią nauk, jak i uczonych uprawiających tzw. nauki społeczne. Jeśli taki okres możliwie szybko nie nastanie, będzie to niepowetowaną stratą dla samej socjologii. Klimat każdej nauki, a zwłaszcza nauki znajdującej się w początkowej fazie swego rozwoju, jest i musi być ostry. Nauka, rzetelnie pojęta, nie znosi atmosfery cieplarnianej. Ostra, bezwzględna, choćby zbyt daleko idąca, ale wnikliwa, dogłębna krytyka, demaskująca wszelkie oportunisty i braki — jest i zawsze będzie najlepszym, bo najbardziej zasłużonym wrogiem każdej nauki, darem dla niej najcenniejszym, bo kształtującym pozytywnie jej przyszłość.

\*

Przesadny optymizm w ocenie wyników socjologii i roli, jaką ona ma odegrać w racjonalnej przebudowie społecznej — to postawa charakterystyczna dla inteligencji nie pracującej naukowo, a więc zorientowanej praktycznie. Zwłaszcza inteligencja, której praca zawodowa ma charakter „społeczny”: działacze społeczni, publicyści, nauczyciele oraz urzędnicy państwowi i samorządowi przystępują dziś do socjologii z silnym przeświadczeniem i głęboką

nadzieję, że ona jedna spośród wszystkich nauk może im dać odpowiedź na pytanie, co i jak należy czynić, aby osiągnąć zamierzony skutek, że ona tylko może wyprowadzić współczesne ustroje społeczne z okresu chaosu ku jakiejś świetlanej przyszłości. Jeśli nawet rozsądniejsi spośród nich wiedzą, że dzisiejsza socjologia nie może spełnić tych nadziei, niemniej wierzą, że w niedalekiej przyszłości je spełni, byle tylko zwiększyła się ilość pracowników uprawiających ją nadal tak jak obecnie jest uprawiana. Źródła tej wiary w przeznaczenie dziejowe socjologii i nadziei z nią związanych łatwo odkryć. Olbrzymia większość inteligencji wyczuwa intuicyjnie, że współczesny kryzys gospodarczy, polityczny i kulturalny ma swoje ostateczne źródła w jakichś mętnie wyobrażanych momentach „społecznych”. Równocześnie uświadamia sobie, że wszystkie inne nauki „społeczne”, cieszące się do niedawna dużym autorytetem, zawiodły w zwalczaniu kryzysu. Jedyną nauką, która jeszcze nie zdołała zdyskredytować swojej praktycznej użyteczności, jest socjologia; ona właśnie zajmuje się badaniem owych mętnie wyobrażanych momentów „społecznych”. Pozbawiona dotychczas autorytetu oficjalnej „profesorskiej” nauki, ostro zwalczana przez tych, którzy sami się zdyskredytowali, nie wypróbowana jeszcze w swojej praktycznej użyteczności, zdobyła socjologia w świadomości tej inteligencji nagle i niespodziewanie rolę uniwersalnej kierowniczką w drodze do lepszej przyszłości i lekarza wszech chorób i niedomagania kryzysowych. Socjologia znalazła się nagle w dziwnej i trudnej roli. Biednemu, zahukanemu i brudnemu kopcieszkowi powiedziano niespodziewanie, że jest czystą, wspaniałą przyodzianą i dobrotliwą królową, rozporządzającą nieprzebranymi środkami usuwania wszelkiej nędzy swoich poddanych. I, jak ów nagi król z bajki, słyszy ona bezustannie dookoła siebie okrzyki zachwytu i podziwu z powodu cnót i właściwości, których nie ma i zapewne długo jeszcze mieć nie będzie. W tej sytuacji powszechnego zachwytu i czołobitności, wywołanych zbiorową iluzją, zamąciło się porządnie w głowie niektórym mniej krytycznym socjologom. Uwierzyli oni bez zastrzeżeń w „królewskość” uprawianą przez siebie nauki, a natężenie tej wiary wzmocnili w sobie rozdętą żądzą osobistego znaczenia i uznania. W rezultacie — wielu socjologów nie tylko podtrzymuje dziś, ale i rozbudowuje mit wielkości i praktycznej użyteczności socjologii, z nieobliczalną szkodą dla dalszego rozwoju tej nauki.

Tymczasem socjologia współczesna jest wciąż jeszcze bardzo daleka od swego mitu. Złożyło się na to wiele czynników. Pomijając zasadnicze trudności poznawczego ujmowania tych procesów,

które mają być przedmiotem badania socjologii, nie bez winy był tu i ewolucjonizm *H. Spencera* i *K. Darwina*, który przez długie lata zaciążył nad rozwojem socjologii i wielu innych, zwłaszcza pomocniczych nauk.

Ewolucjonizm spowodował w socjologii niewątpliwie pewne dodatnie konsekwencje. Ewolucjonistyczny punkt widzenia relatywizował w czasie formy i instytucje społeczne, pozbawiał je charakteru ponadczasowego; w związku z tą relatywizacją narzucał konieczność wyjścia poza rozważania czysto statyczne i zanurzenia się w zagadnienia kinetyki społecznej. Ewolucjonizm również, przez stawianie zagadnień na gruncie genetycznym, spowodował nawiązanie żywego kontaktu socjologii z etnologią. Kontakt zaś z etnologią: 1. wytwarzał lub przynajmniej umacniał w socjologach anty-indywidualizm w wyjaśnianiu genezy instytucyj i form społecznych, 2. wyrabiał zmysł dla irracjonalności czy, ściślej, illogiczności dynamiki przemian społecznych, 3. otwierał socjologowi szerokie perspektywy dla rozważań genetycznych, a w związku z tym wytwarzał w nim dystans wewnętrzny w stosunku do współczesnych, otaczających go form i instytucyj społecznych. Przez odległe i nieoczekiwane genealogie ewolucjonizm etnologiczny odkrywał „niezwykłość” otaczającej nas codzienności stwarzając przez to możliwość dostrzegania zagadnień w najbardziej codziennych faktach. W tych dodatnich stronach ewolucjonizmu kryły się jednak równocześnie i poważne niebezpieczeństwa dla dalszego rozwoju socjologii. Dociekania ewolucjonistyczne stały się na długo jedynym, a w każdym razie zasadniczym zadaniem socjologii. Następstwem tego były: 1. przewaga rozważań genetycznych nad systematycznymi, 2. przerost tendencji do rozumowania *per analogiam* na podstawie częściowej tożsamości cech wtórnych, ubocznych. 3. Z obu tych źródeł wyrosła z kolei tendencja do zapoznawania nieprzywiedlności cech występujących w nowych faktach społecznych. Pod wpływem ewolucjonizmu badała socjologia raczej z „czego” i „w jaki sposób” rozwijało się to, co jest niż „co jest” i jakie są tego, co istnieje swoiste, niesprowadzalne właściwości. We wszystkich rozważaniach górowała przemożnie tendencja sprowadzenia wszystkiego do form pierwotnych. Stąd wywodzi się ubóstwo terminologii socjologicznej, wystarczającej może do ujmowania prymitywnych form i instytucyj społecznych, ale całkowicie zawodzącej przy próbie pojęciowego ujmowania złożonej struktury i dynamiki społeczeństw i grup euro-

<sup>3</sup> Przez długie lata socjologia była uprawiana niemal wyłącznie jako *etno-socjologia*.

pejskich. Stąd również wywodzi się mętność terminów socjologicznych, stąd wreszcie bardzo poważne braki i luki w systematyzacji zagadnień socjologicznych, występujące wyraźnie zwłaszcza w konstrukcji logicznej socjologii „ogólnej”. W sumie — ewolucjonizm przyniósł socjologii o wiele więcej szkód i spustoszeń niż pożytku. Zwłaszcza, że niósł z sobą inne jeszcze niebezpieczeństwa, a mianowicie: tendencję do konstruowania śmiałych uogólnień nie liczących się ani z faktami ani z ich rzeczywistymi związkami strukturalnymi, dowolnego wrywania faktów z zespołów, w których występowały, i ignorowania konkretnego podłoża warunków, z których wyrastały, a wreszcie tendencję do powierzchownej i zniekształcającej obserwacji tych faktów. Groza tych niebezpieczeństw zarysuje się przed nami bardziej plastycznie, jeśli przypomnimy sobie, że socjologia w początkach swoich była tworzona przez filozofów, ludzi obdarzonych z natury skłonnością do spekulatywnych konstrukcyj, traktujących fakty raczej jako ilustrację swoich teorii niż ich podstawę empiryczną. Z tych dwóch zbieżnie działających wpływów socjologia po dziś dzień nie zdołała się całkowicie uwolnić, zwłaszcza że wzmożenie ich działania przyniosło obecna moda na socjologię.

Współczesna myśl socjologiczna, — pisałem przed paru laty w dziele recenzyjnym „Ruchu”<sup>4</sup> — przy akompaniamencie jarmarcznej wprost wrzawy agitacyjnej, jaką czyni się wokół nazbyt niestety modnej dziś socjologii, chwieje się między dwiema alternatywami: albo budowaniem śmiałych konstrukcyj teoretycznych, czyli systemów, których sklepienia, luki, a nawet dźwigające kolumny unoszą się wysoko i suwerennie ponad faktami społecznymi, i w których odwoływanie się do faktów ma na celu jedynie ilustrowanie apriorycznie utworzonej teorii, albo — równie bezpłodną, a nieporównanie mniej ciekawą, mniej twórczą, ale za to o tyle łatwiejszą i bardziej demagogiczną *faktolatrią*, bałwochwalczym kultem faktów, nie pozwalającym na wynurzenie głowy ponad zmaćone fale rzeczywistości i jasne, przenikliwe, a zarazem sensownie porządkujące spojrzenie. I w jednym, i w drugim wypadku realny fakt społeczny nie dochodzi do głosu. W pierwszym — ze względów programowych, bo się go po prostu traktuje z wyniosłym lekceważeniem; w drugim — wbrew głoszonemu programowi, bo program ten urzeczywistnia się niechlujnie, bez żadnej idei przewodniej, bo „uczony” rozkłada się plackiem przed faktem i bijąc bezmyślnie pokłony, zatraca zdolność ostrego i wnikliwego

<sup>4</sup> „Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny” 1935, zeszyt II, str. 400/401.

spojrzenia, umożliwiającego ujęcie całego bogactwa właściwości tego faktu i jego wielorakich związków z innymi faktami. Nurkowanie z zamkniętymi oczyma a szeroko rozczapierzonymi palcami w odmętach rzeczywistości i tępe a niestrudzone wyławianie z niej „faktów” wyłącznie na podstawie „domacalnie” dających się stwierdzić analogii zewnętrznych oraz pokrywanie fikcją przedmiotowości ujęć statystycznych czy prostych faktografii własnej indolencji i dezorientacji teoretycznej, własnej niezdolności przenikliwego patrzenia i gruntownego analizowania — oddała nas w conajmniej równym stopniu od rzeczywistości społecznej jak sprężysta trampolina apriorycznej konstrukcji teoretycznej. W tym beznadziejnym i bezpłodnym oscylowaniu pomiędzy przedwczesną konstrukcją teoretyczną a monotonnym sumowaniem olbrzymiej ilości nieociosanych analitycznie „faktów” lub zewnętrzną faktografią — giną bez echa wszelkie próby wyprowadzenia współczesnej socjologii na drogę otwierającą szanse istotnie naukowego jej rozwoju.

Tyle jest do zrobienia u samych podstaw socjologii, że doprawdy byłby już czas najwyższy wyjść zarówno z jednostronności mnożących się systemów jak i nieco humorystycznego obskakiwania „faktów”, mianującego się szumnie socjografią lub nawet monografią socjologiczną. Uczciwiej, rzetelnie zrobionej socjografii nikt jeszcze nie napisał, a to, co usurpuje sobie jej miano, to jakieś faktografie gubiące się w szczegółach drugorzędnych, ale za to „naocznych”, pomijające natomiast to, co najbardziej istotne. Porównajmy je z opisem „faktów” dokonany przez fizyka, chemika lub nawet psychologa, a od razu odsłoni się przed nami żalosa nędza socjologii. Brak tym faktografiom nie tylko umiejętnego doboru i ociosania faktów, brak im również sensownego uporządkowania tych faktów; układ i treść opisów, które mają rzekomo spełniać rolę „materiału” socjologicznego, świadczą wymownie, że opisom tym nie przyświecały żadne określone cele poznawcze, że u podstaw ich sporządzania kryła się jakaś naiwna wiara, iż z prostego nagromadzenia tzw. faktów, nie kierowanego określonymi celami i dyrektywami, przecież coś w jakiś sposób wyrośnie.

Przed socjologią stoją jednak zadania nieskończenie ważniejsze niż sporządzanie faktografii czy nawet socjografii. Fakty z naukowego punktu widzenia nie przedstawiają żadnej wartości, jeśli nie służą sprawdzeniu już istniejących teoryj albo jeśli nie nasuwają nowych problemów, a w konsekwencji i nowych teorii. W tym celu musi jednak każda nauka rozporządzać odpowiednim aparatem pojęciowym, słowem, posiadać odpowiednio rozbudowaną i możliwie precyzyjną terminologię. Tymczasem sprawa istniejących i stosowa-

nych w socjologii terminów mogłaby stanowić ciekawy przyczynek do wątpliwej skądinąd teorii prelogicznego, magicznego myślenia. Zamiast tworzyć nowe terminy w ścisłym kontakcie z wnikliwą obserwacją i analizą faktów, a zastane ustawicznie sprawdzać i korygować przez konfrontację z faktami przez nie oznaczonymi, zamiast zbierać i analizować fakty właśnie gwoli sprawdzania, uściślenia i rozbudowy terminów, a wreszcie zamiast zaczynać analizę od faktów możliwie prostych, aby na tej podstawie ustalać sens i zakres terminów prostych lub mniej złożonych i od nich przechodzić dopiero do ustalania sensu i zakresu terminów stopniowo coraz bardziej złożonych — postępuje się w socjologii wręcz odwrotnie. Który z używanych terminów jest bardziej prosty, a który bardziej złożony, jaki jest wzajemny logiczny stosunek tych terminów, na to nie umiałyby sam socjolog w wielu wypadkach jasno odpowiedzieć. Sens i zakres terminów ustala się bowiem w socjologii mętnie i chwiejnie, jakby to była sprawa zgoła drugorzędna, idąc z reguły od terminów bardziej złożonych ku prostszym. Cały zaś proceder tego wprowadzania i ustalania terminów sprowadza się w socjologii w zasadzie do trzech utartych sposobów: 1. albo ustala socjolog sens i zakres terminów wychodząc z przesłanek, mętnych dyrektyw i potrzeb własnego spekulatywnego systemu, 2. albo opierając się na powierzchownej obserwacji cech wtórnych naprowadzających — w ten sposób został ustalony sens takich terminów, jak np. „świadomość grupowa” i „obyczaj”; logiczną konsekwencją tego sposobu jest zagubienie się socjologii w opisywaniu owych cech naprowadzających, w klasyfikowaniu faktów według tych cech oraz ustalaniu związków między faktami grupowanymi na tej powierzchownej podstawie. Niemniej ryzykowny i nieodpowiedzialny jest 3. sposób polegający na tym, że socjologowie przejmowali wiele terminów z języka potocznego, w którym stosowane były w sposób najbardziej dowolny. Przeniesione do socjologii bez żadnych wyraźniejszych prób ich uściślenia, oblepione dosłownie nieprzeniknioną gęstwą wieloznaczności, narzuciły tej nauce wiele niepotrzebnych, pozornych zagadnień, a równocześnie przysłoniły zagadnienia właściwe. Tragiczną ilustracją tego trzeciego sposobu tworzenia terminów jest teoretycznie beznadziejna sytuacja, jaka wytworzyła się w socjologii na skutek wprowadzenia do niej terminu: „publiczność” i „opinia publiczna”. Zamęt w rozważaniach teoretycznych powiększali nadto sami socjologowie dodając do nieokreślonej ilości znaczeń, które posiadał wyraz w języku życia codziennego i te znaczenia, które nadano owemu wyrazowi w różnych innych naukach. Wprowadziwszy w ten sposób do socjologii taki czy inny wyraz z całą wielością jego znaczeń, które nabył nie tylko w języku co-

dziennym, ale i w językach różnych nauk, i podniósłszy go do godności terminu zakładano z kolei, że ponieważ dany „termin” używany jest do oznaczania nader rozmaitych stanów rzeczy, więc widocznie wszystkie owe stany rzeczy: 1. muszą posiadać jakieś cechy wspólne, 2. te wspólne cechy są dla nich istotne, konstytutywne. Tak np. było w socjologii niemieckiej z terminem: „Die Masse”, który gruntownie zabagnił zagadnienie socjologii tłum. Następstwem tego sposobu tworzenia terminologii było i jest zagniecenie się socjologii w chwytaniu i badaniu zewnętrznych analogii, przeoczenie i niezdolność dostrzegania cech właściwych, socjologicznie najbardziej istotnych. Zwłaszcza, że większość jej terminów ma charakter raczej literackich przenośni, zaczerpniętych z języka służącego odmiennym celom i sugerujących zgoła ryzykowne, niewłaściwe skojarzenia i problemy. Takimi obrazowymi przenośniami hipostazowanymi teoretycznie w socjologii są np. terminy: „świadomość kolektywna”, „świadomość grupowa” lub „opinia publiczna”; uwikłały one socjologię w łatwej, upraszczającej a, jak się zdaje, nieadekwatnej psychomorfizacji grupy społecznej.

Wszelki termin naukowy powinien: 1. umożliwiać zbliżenie do faktu, nawiązanie z nim poznawczego kontaktu oraz 2. tak ustawić badacza, aby umożliwić mu najbardziej wnikliwą obserwację i analizę tego faktu, a przez to dalsze uściślanie tego terminu i wykrywanie istotnych dla danej nauki związków. Tych funkcji terminy socjologiczne, tworzone wymienionymi trzema sposobami, spełnić oczywiście nie mogą. Są one albo sztucznymi konstrukcjami pozbawionymi empirycznych podstaw, albo chwiejnymi, mętными o rozpluwających się konturach nazwami, zbudowanymi na *quasi-empirycznych* podstawach czysto powierzchniowych, wtórnych właściwości i zewnętrznych „naocznych” analogiach. *Quasi-empiryczny* charakter podstaw wielu terminów socjologicznych unaocznia się jeszcze wyraźniej, jeśli zdamy sobie sprawę, że sens tych terminów był przeważnie ustalany nie na podstawie wnikliwej analizy kilku prostych, odpowiednio dobranych faktów, lecz właśnie na podstawie powierzchownej i dorywczej analizy wielkiej ilości faktów bardzo złożonych, często różnorodnych, grupowanych „na oko” jako fakty jednorodne. Logicznym następstwem tego, jest to, że terminy socjologiczne nie zbliżają nas do faktów społecznych, nie zaostwiają naszej obserwacji. Przeciwnie. Oddalają nas od faktów i deformują ich ujęcie i obraz. Kto oswoił się dostatecznie z terminologią socjologiczną, tak iż przestała mu już imponować i kto zarazem nie umie traktować nauki jako magii słów czy kunsztu prestidigitatorskiego, demonstrowanego przed ogłupiałym tłumem, ten niejednokrotnie przeżywa przykre chwile zwątpienia

w wartość i użyteczność socjologii, jak długo będzie ona uprawiana tak, jak jest obecnie uprawiana.

Niestety, nic nie zapowiada, jakoby miało się zmienić na lepsze w socjologii. Wiele natomiast jest znaków, że niedługo może być jeszcze gorzej. Krytycyzm uczonych wobec socjologii — jak widzieliśmy — nie idzie zbyt głęboko. A dziś przytłacza go i natężeniem i powszechnością irracjonalny optymizm w ocenie tej nauki i w wygórowanych nadziejach praktycznej użyteczności, z nią związanych. Jest to objaw tym bardziej groźny, że idzie dziś w parze z modą na socjologię. Socjologia stała się dziś nauką modną jak ongiś psychologia, wczoraj jeszcze psychoanaliza. Modność tej nauki jest następstwem optymistycznego jej wartościowania. Skoro socjologię uważa się za naukę najbardziej wartościową z nauk społecznych, najciekawszą i najbardziej użyteczną, skoro dopatruje się w niej uniwersalnego lekarstwa na wyjście z współczesnego kryzysu — cóż dziwnego, że każdy szanujący się inteligent uważa za stosowne i konieczne interesować się choćby pośrednio i zewnętrznie tą nauką lub bodaj „socjologizować” w rozmowie z innymi. Cóż dziwnego również, że mnożą się powołani, a więcej jeszcze niepowołani, którzy dla zwrócenia pozytywnej uwagi na siebie, zaspokojenia swojej próżności, określają w nagłówku swoje odczyty i publikacje jako socjologiczne. Wyraz „socjologia” czy określenie „socjologiczny” spełniają dziś magiczną funkcję transsubstancjacji najdziwniejszych bredni w cudownie uzdrawiającą mądrość, z której można już patrzeć z dobrotliwą pogardą na dorobek innych nauk i wszelkiej myśli „niesocjologicznej”. Szerzeniu się mody na socjologię sprzyja nadto niski teoretyczny poziom tej nauki i związana z nim łatwość wywoływania u laików wrażenia, że się jest socjologiem. Niewątpliwie również u podstaw tej mody kryje się pewna zbieżność między chwiejnością i względnością stosunków powojennych a teoretycznym relatywizowaniem, postawą tak znamiennej dla rozważań socjologicznych.

Moda na pewną naukę ma, zapewne i swoje dobre strony. Konsekwencją mody jest zwiększenie powszechnego zainteresowania wynikami modnej nauki, pobudzające uczonych do twórczości oraz

<sup>5</sup> Dlatego ani matematyka, ani fizyka teoretyczna nie mogą już dzisiaj uzyskać charakteru nauki modnej; zbyt są usystematyzowane, zbyt rozwinięte, aby bez trudu i bez dłuższego uczenia się można było w nie wkraczać lub o nich rozprawiać.

<sup>6</sup> W szkicu niniejszym pomijam kwestię genezy owej mody na socjologię. Zagadnienie to mogłoby być bardzo ciekawym przyczynkiem do socjologii kultury, a nawet do socjologii samej socjologii.

popieranie społeczne rozwoju takiej nauki, subwencjonowanie badań wchodzących w jej zakres. W tych momentach pozytywnych kryją się jednak równocześnie momenty działające destrukcyjnie na rozwój modnej nauki, a siła tego działania rozkładowego, zawsze większa od pozytywnego, rośnie odwrotnie proporcjonalnie do stopnia osiągniętego poziomu teoretycznego tej nauki; im niższy jest jej poziom, tym bardziej destrukcyjnie wpływa na nią moda. Następstwem mody na pewną naukę jest zawsze przystosowywanie się nauki do gustu i strawności szerokich mas kierowanych psychologią mody oraz kokietowanie tych mas przez spragnionych popularności, mniej sumiennych uczonych. To przystosowywanie się ujawnia się przede wszystkim:

1. w tendencji do u p r a s z c z a n i a zagadnień i teoryj, aby uczynić je dostępnymi i strawnymi szerokim masom. Unika się zagadnień trudnych, nieprzystępnych, wymagających długiego okresu żmudnych i nieefektywnych badań, unika się również budowania zbyt złożonych i nieprzystępnych teoryj. Buduje się tylko takie hipotezy teoretyczne, które możliwie łatwo dadzą się zamienić w obiegowy, możliwie efektywny frazes (v. p. 2);

2. w tendencji do podejmowania zagadnień i budowania teoryj odpowiadających progowi wrażliwości szerokich mas, a więc zagadnień i teoryj mających wyraźne znamiona niewybrednej sensacji. Opracowuje się przede wszystkim takie zagadnienia, które z istoty swojej mają już posmak efektywnej sensacji; obiera się technikę badania tych zagadnień możliwie niezwykłą, zdolną budzić szeroki tożgłos i przyjemne dreszczyki u gapia. Wybiera się wreszcie z kilku możliwych hipotez, wyjaśniających owe zagadnienia, hipotezę aie najbardziej prostą czy nieefektywną, ale właśnie najbardziej zaspokajającą bezustanny głód sensacji w masach;

3. w tendencji do opracowywania tematów a k t u a l n y c h z punktu widzenia nie samego uczonego i potrzeb jego nauki, ale aktualnych z punktu widzenia właśnie tych mas, które interesują się modną nauką. P r o b l e m a t y k i nauki w okresie jej mody nie kształtuje sam uczone, narzucają mu ją laicy.<sup>7</sup> Rozwój jej w tym okresie jest chaotyczny, przypadkowy, nie wyrasta z potrzeb samej nauki i jej stanu, odłogiem też leży kwestia systematyzacji tej nauki;

4. w tendencji do p r a k t y c y z m u. Tendencja ta często łączy się i pokrywa z poprzednią, ale nie zawsze da się z nią utoż-

<sup>7</sup> W szkicu „Znaczenie teorii dla praktyki”, druk. w „Przewodniku Społecznym” 1936, st. 296, starałem się uzasadnić, że postawa uczonego winna być praktycznie transaktualna. i że tylko uczeni spełniający ten postulat, dokonują odkryć teoretycznie i praktycznie najbardziej doniosłych.

samię. Nauka w okresie mody zatracza charakter czysto poznawczy, podporządkowuje się potrzebom i wymogom życia praktycznego. Praktycyzm przesądza dobór zagadnień; on również zakreśla granice teorii. Zagadnienia i teorie, których użyteczność praktyczna nie jest bezpośrednio widoczna, teorie nie dające się na razie bezpośrednio w praktyce zastosować, są pomijane, lekceważone i zapoznawane. Z praktycyzmu wywodzi się również tendencja do przedwczesnych rozwiązań teoretycznych, a w konsekwencji stan ciągłej tymczasowości teoretycznej modnej nauki. Moda jest zmienna i niecierpliwa, życie zaś praktyczne narzuca wciąż nowe problemy, które nie mogą czekać do chwili, w której nauka przeprowadzi gruntowną ich analizę i zbuduje możliwie pełną teorię. Więc, żeby nie sprawić zawodu wierze i nadziejom mas, żeby nie zdyskredytować się w ich oczach, uczeni bardziej ambitni, a mniej powściągliwi, nie wahają się formułować rozwiązań teoretycznych, a nawet — wychodząc poza swoje uprawnienia — wskazywać ich praktyczną stosowalność w chwili, w której nie mają jeszcze po temu żadnych podstaw;

5. w tendencji do ignorowania i lekceważenia dotychczasowego dorobku tej nauki. Moda jest zmienna, anty-historyczna,<sup>8</sup> żądna nowości, nowości bijącej w oczy, narzucającej się, krzykliwej, i darzy uznaniem tego, kto taką nowość przynosi. Przystosowując się do tych wymagań uczeni a raczej pseudouczeni, zdeprawowani modą na naukę przez nich uprawianą, z natarczywą jazgotliwością cyrkowego impresaria czy ulicznego przekupnia starają się ściągnąć wszystkich naiwnych do swojej budy jarmarcznej, pełnej wszelakiego wysortowanego blichtru, obwieszczają z rozgłośnym a chępliwym gdakaniem zniesienie przez nich małego i pustego jajeczka, które rzekomo zdolne jest leczyć wszelkie choroby i likwidować wszelkie trudności myślowe i praktyczne, wybijają z hałasem drzwi dawno już przez innych otworzone, lansują jako ostatnią nowość to, co inni przed nimi lepiej, mądrzej i ostrożniej już zrobili. Butna, brutalna, typowo nuworyszoska pogarda dla wszystkiego, co było wczoraj w nauce, a czego się nie zna, ignorowanie lub lekceważenie wszystkiego, czego inni współcześni dokonują — oto typowa postawa olbrzymiej większości współczesnych przedstawicieli modnej socjologii. Socjolog pragnie dziś mieć za sobą nietyłe innych uczonych, ile szerokie masy bezkrytycznej inteligencji. O całym tym zdemoralizowanym świecie pseudo-uczonych można bez ujmy powiedzieć, że nie ma w nim ani jednej indywidualności, która by już nie tylko prawością, ale inteligencją, zdolnościami twórczymi, po-

<sup>8</sup> Dla niej nawet fakt historyczny staje się przedmiotem zainteresowania dopiero wówczas, kiedy zostanie wyrwany ze swego podłoża historycznego.

wagą traktowanie nauki, głębią i dojrzałością umysłu dorastała do pięć wielkim przedwojennym socjologom. Tylko bardzo nielicznych spośród współczesnych socjologów można zestawiać z tą starą, naprawdę imponującą gwardią.

Moda na socjologię oraz niski poziom teoretyczny tej nauki prowokuje nadto coraz liczniejsze rzesze zarozumiałych spryciarzy i błaznów intelektualnych do wystąpień publicznych pod modną, namaszczającą i rozgrzeszającą etykietą socjologii. Czytając ich płody czujemy się mniej wyraźnie niż przy lekturze brukowej powieści. Łatwość, z jaką każdy, kto tylko zechce, wchodzi sobie w rozwarte granice socjologii i niefrasobliwie po jej obszarach buszuje, jest zaiste zdumiewająca i powinnaby nasunąć poważniejszym socjologom bardzo smutne refleksje nad obecnym stanem socjologii. Powinnaby również zmobilizować ich do obrony resztek dobrego imienia socjologii, a przede wszystkim jej przyszłości przez solidarne zwalczanie tego półświatka intelektualnego pasożytującego na jej terenie i panoszącego się coraz wyraźniej.

Przed laty, w jednym z czasopism przeznaczonych dla młodzieży żeńskiej wyczytałem taką oto wskazówkę: „cnota wasza winna być taka, jak owej królowej z bajki: równa sile dwunastu rycerzy!”. W bajce, jak to w bajce, zawsze trochę przesady. Socjologia królową nauk jeszcze nie jest, chociaż według A. Comte'a miała być królową nauk. A siła jej cnoty? Ta na razie nie jest równa nawet sile jednego Alfonsa. W atmosferze mody ilość tych „Alfonsów”, krzątających się zapobiegliwie i pasożytujących na socjologii rośnie z zastraszającą szybkością. I w tym czai się bodaj najgroźniejsze niebezpieczeństwo mody na socjologię. Oto w ruchliwej zabiegliwości, krzykliwości i bezwstydnym reklamowaniu się tego żerującego półświatka intelektualnego, giną z przed oczu szerokich mas usiłowania teoretyczne i sens nie liczących się z modą dociekań tych niewielu prawdziwych socjologów, którzy w głębokiej i wiernej miłości do uprawianej przez siebie nauki, chcą w miarę swoich sił przyczynić się do uczynienia z niej kiedyś nauki naprawdę godnej szacunku i praktycznie naprawdę użytecznej.

Czyż tedy w interesie samej socjologii, zanim zdyskredytuje się i doszczętnie ośmieszy, nie byłoby pożądanego, aby jej moda jaknajprędzej przeminęła, aby możliwie rychło rozpoczął się okres intensywnego koncentrycznego ataku ze strony wszystkich uczonych, a zwłaszcza przedstawicieli „nauk społecznych” oraz filozofów-metodologów, atak choćby namiętny, ale operujący rzeczowymi i naprawdę miazdzącymi argumentami? Zniknie wówczas z socjologii półświatek intelektualny i cała ta dziwaczna galeria typów społecznie subnormalnych, marginesowych, zczęśnie również i roz-

wieje się w nicość deprawująca słabsze charaktery atmosfera optymistycznej wiary w socjologię. Zacznie się w tej nauce okres wyjątkowej, rzetelnej, na daleką przyszłość obliczonej pracy, wykonywanej w skupionym spokoju bez błazeńskiej wrzawy. Najostrejszy choćby krytycyzm uczonych stwarza zawsze jeszcze zdrową atmosferę dla rozwoju rzetelnie pojmowanej nauki, podczas gdy optymizm laików wytwarza atmosferę cieplarnianą, przyciągającą wszelkie typy z marginesu życia społecznego. Trawestując aforyzm *Nietzschego* o życiu, możnaby o przyszłości socjologii powiedzieć: krynicą może być socjologia, ale tłoczące się stado ludzkie zdolne jest zamienić najczystsze źródło w cuchnącą kałużę.